№ 11. 13. Marca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wydawnictwo im. Mickiewicza.

Odezwa.

Wydawnictwu, z którem występujemy, dała początek uchwała Walnego Zgromadzenia Towarzystwa Bratniej Pomocy kraj. wyż. szkoły rolniczej w Dublanach, odbytego w dniu 23 Marca 1890 r. z powodu uroczystości przewiezienia zwłok A. Mickiewicza do kraju.*) W myśl tej uchwały zwołany został zjazd delegatów młodzieży akademickiej z jej Towarzystw zapomogowych i kształcących w Dublanach, Krakowie, Lwowie, Halli, tudzież delegatów młodzieży warszawskiej, który na zebraniu w dniu 23. lutego 1891 utworzył „Wydawnictwo Młodzieży Imienia Adama Mickiewicza".

Wydawnictwo — według uchwalonej organizacji tegoż — obejmować ma dzieła naukowe i literackie, tak oryginalne, jak tłómaczone, ze szczególnem uwzględnieniem kierunku społecznego: niecenzuralność dzieła po za Austrją nie wpływa decydująco na wybór.

*) Podając do wiadomości szerszego ogółu odezwę niniejszą, nadesłaną nam wraz z 1-szym tomem wydawnictwa, uważamy za potrzebne przypomnieć zarazem, jak surowemu prześladowaniu uległa garstka szlachetnej młodzieży dublańskiej, która dała inicjatywę zarówno niniejszego wydawnictwa, jak i do wielu innych obywatelskich czynów. Smutnym kolejom losu ulegają dotąd owi wydaleni z Dublan i z Galicji „obcokrajowcy": jednemu z nich, dotkniętemu ciężką chorobą piersiową, rząd rosyjski odmawia paszportu zagranicznego dla poratowania niknącego życia, a odmawia jako niebezpiecznemu, ze szkół polskich nawet wyrzucanemu warchołowi; inny — z trzeciego kursu wydalony — nie posiadając wymaganych świadectw, tuła się dotąd po bezpłatnych praktykach — o innych wieści zaginęły. Dzieje tej młodzieży dodają mniej jaskrawą może, ale wymowną kartkę do naszej stuletniej martyrologji, z tą wszelaką różnicą, że rolę prześladowców patrjotycznego wśród młodzieży żywiołu, rolę dusiciela szerszej śród niej myśli odegrały nie rządy zaborcze, lecz Polacy z krwi i kości przynajmniej, jeżeli nie z ducha.

Komitet z siedmiu członków, zawiązany w tym celu, zobowiązany jest w przeciągu trzech lat wydać pewną serję dzieł, o których wyborze sam decyduje. Co trzy lata trzech członków z komitetu ustępuje, a przez kooptację, zarządzoną przed ich ustąpieniem, przybiera komitet trzech innych członków. Kooptować można tylko słuchaczy wyższych zakładów naukowych. Członek, który nie może być obecny na posiedzeniu, ma prawo przysłania zastępcy; zastępców jednak najwięcej trzech może być na jednem posiedzeniu.

Komitet po wydaniu każdego dzieła ogłasza i przesyła zamknięcie rachunkowe kosztów wydania Towarzystwom prenumerującym, którym też przysługa prawo kontrolowania tychże i wyrażania opinij i dezyratów co do dalszego wydawnictwa.

Celem uzyskania środków pieniężnych na wydawnictwa komitet:

a) rozpisuje prenumeratę na daną serję lub dane dzieło,

b) zaprasza Towarzystwa młodzieży akademickiej polskiej do prenumerowania większej liczby egzemplarzy.

Towarzystwom wyżej wspomnianym udziela komitet następujących ulg:

1. przyjmuje prenumeratę roczną, to znaczy: Towarzystwa, które złożą w danym roku kwotę dowolną na wydać się mające w tymże czasie dzieła, otrzymają tyle egzemplarzy tegoż po cenie niższej od ceny zwykłej, by kwota łączna wartości egzemplarzy dorównywała rocznej prenumeracie. Egzemplarze te jednak nie mogą być oddawane do sprzedaży księgarniom, lecz mają być sprzedawane członkom Towarzystwa.

Gdyby zapotrzebowanie było większe od kwoty rocznej prenumeraty, Towarzystwa otrzymają każdy następny egzemplarz po cenie prenumeraty, jaka dla publiczności ogłoszoną została.

3. Zwyżkę kwoty prenumeraty rocznej po odjęciu ekwiwalentu w dziełach mogą Towarzystwa odebrać tylko w dziełach tej samej serji.

Tyle o powstaniu i organizacji Wydawnictwa.

Wydawanie prac naszych pisarzy, zwłaszcza wyświetlające krytycznie stan naszego społeczeństwa i warunki jego rozwoju na przyszłość, przyswojenie naszemu piśmiennictwu z produkcji umysłowej

innych narodów, dzieł stojących na wyżynie dzisiejszego horyzontu naukowego, tudzież utworów literackich, dających artystyczny wyraz życiu doby dzisiejszej, rozszerzanie i demokratyzowanie świadomości ogółu w wyż wymienionym kierunku — oto w kilku słowach cel i kierunek, jaki sobie komitet tego wydawnictwa postawił.

Racja bytu tego nowego wydawnictwa określa się jasno. Po pierwsze, jest ono wydawnictwem postępowej młodzieży polskiej, powtóre jest ono bezinteresowne, a nie spekulacyjne. Odróżnia je to znacznie od innych wydawnictw. Kiedy bowiem w naszym ruchu wydawniczym, — zresztą niezbyt ożywionym — o wydawnictwie dzieł stanowią często względy drugorzędne, jak poczytność, pokup, sympatyczne tendencje, cenzuralność we wszystkich trzech dzielnicach ziemi polskiej i tym podobne, i kiedy wskutek tej właśnie materjalnej zależności na polu piśmiennictwa naszego, prace rzetelnej wartości bardzo długo lub napróżno czekają na nakładców, to w wydawnictwie niniejszem przedewszystkiem wartość dzieła w ramach wyżej zaznaczonych będzie rzeczą decydującą.

Nadaliśmy wydawnictwu imię Adama Mickiewicza, bo stworzyło je pragnienie uczczenia pamięci wielkiego poety i patrjoty! „Sądziliśmy“ — mówi odezwa słuchaczów szkoły rolniczej z Dublan, która to wydawnictwo zainicjowała — „sądziliśmy, że najstosowniej uczcimy pamięć nieśmiertelnego wieszcza, jeżeli upamiętnimy uroczysty dzień 4 lip a czynem, świadczącym, że młodzież polska odczuwa potrzeby umysłowe i moralne swego społeczeństwa“.

Zebranie funduszu odwlokło wprowadzenie w życie samego wydawnictwa. Fundusz ten wynosi obecnie, po wydaniu 1-go tomu wydawnictwa, 506 zł. a. w. a złożyły się nań głównie: Towarzystwo Bratniej Pomocy słuchaczów szkoły rolniczej w Dublanach, Bratnia Pomoc Politechniki lwowskiej młodzież warszawska, i Bratnia Pomoc akademików Polaków w Halli. Jako pierwszy tom omawianego wydawnictwa wydaliśmy „Artykuły polityczne Adama Mickiewicza“, nietylko jako wyraz czci dla Niego, lecz także przez wzgląd na ich wysoką wartość, którą zachowały do dzisiaj, choć mimo to do dzisiaj są, niestety, tak jak nieznane. Zwracamy się do inteligentnego ogółu, a przedewszystkiem do Towarzystw młodzieży akademickiej z prośbą o poparcie wydawnictwa drogą zakupna jego dzieł i drogą prenumeraty.

Tom I. obejmujący „Artykuły polityczne A. Mickiewicza“ i obszerną przedmowę Bolesława Limanowskiego kosztuje 1 złr. 30 ct. Skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. Dla towarzystw cena zniżona wynosi 1 złr.; odnosić się należy wprost do komitetu wydawniczego pod adresem: Dr. Franciszek Siedlecki. Wiedeń IX. Lazarethgasse 5. Mezz., 11 Thür.

Kraków, 19 Lutego 1893 r.

Komitet
Wydawnictwa Młodzieży imienia Adama Mickiewicza.

Za cenę życia.

Szkic
Gabryeli Preissowej.

(Dokończenie.)

Dopiero w kilka kwadransów później, drobne, zziębnięte rączęta siliły się nadaremnie otworzyć drzwi jadalnego pokoju na dole, w którym cała rodzina zasiadła do wieczerzy, a szwaczka wyjrzawszy do sieni, spostrzegła tam drżącą, przytuloną do drzwi, postać Bětky.

ALBUM
JANA MATEJKI.

Nakładca Fr. Bondy w Wiedniu.

Na całość wykwintnego „Albumu“ składają się reprodukcje piętnastu najznakomitszych obrazów Matejki. Więc też każda z jego kartek, to niby odosobniona zwrotka hymnu dziejowego, jaki w ciągu dziesięciu wieków wyśpiewała Polska, młodzieńczo waleczna w początkach, potężna i oświecona później, upadająca nakoniec w zamierzchu cnót rycerskich i obywatelskich, lecz odradzająca się w chwale i krwi bitwy racławickiej.

Przedstawiciela Polski Piastów, Polski-dziecka, ale już silnej, jak Herkules w kolebce, daje nam mistrz w postaci Bolesława Chrobrego przed złotą bramą w Kijowie. Dość spojrzeć na męzkie, głęboką myślą wymowne oblicze króla-bohatera, na muskularną jego dłoń, w której zaciska legendowy „szczerbiec“, aby odgadnąć, że wszelkie wrogie fale, a więc i falę niemiecką odepchnie zwycięzko od swego brzegu.

Krwawą walkę narodu polskiego w początkach jagiellońskiej epoki z chłonącą ową falą przedstawia „Bitwa pod Grunwaldem“.

Ziemia drży od tętentu kopyt końskich. W rozgrzanem powietrzu powiewają sztandary, błyskają ciężkie topory, spadają na karki ludzkie krwią ociekające miecze... Trupy ścielą się dokoła, roznamiętniając do szału pozostałych przy życiu. Walczy też mężnie rycerstwo polskie, wspiera je dzielnie oporna w boju Litwa.. Wśród splątanych, pełnych ruchu i życia postaci, króluje on, bohater dnia, W. książę litewski, Witold! Tarczą, którą trzyma w lewej ręce, zasłania się od pocisków nieprzyjaciela, prawą zaś wznosi ciężki miecz ruchem olbrzymiej siły, jaką daje chwila zapału, naprężająca wszystkie muszkuły ciała i wszystkie struny duszy... Miecz ten spadnie, jak piorun, na kark wroga, roztrzaska, posieka, zabije... Wichrem bojowym rozwiane włosy Witolda, nawpół otwarte usta, błyskawice

Przeczuciem wiedziona, wybiegła i sleczna Iza i bez tchu niemal rzuciła pytanie:

— Nadałaś telegram?... przyjęli?

— Przyjęli — wyjąkała jakimś martwym głosem Bętka, ale Iza, nie zwracając uwagi na zbiedzony wyraz twarzy dziewczynki, uchwyciła ją za ramię radośnym, pieszczotliwym ruchem, wołając z niezwykłą w stosunku do dziecka łaskawością:

— O moja dobra, poczciwa Bętulinko! Zaczekajno tu chwilkę za drzwiami, przyniosę ci zaraz dziesięć centów i kawałek strucla, a jutro dam ci tyle szmatek, ile tylko sama zechcesz...

Iza pośpieszyła do stołu, a mrugnąwszy radośnie na matkę — ani córka bowiem, ani żona, nie życzyły sobie, aby pan spravce dowiedział się o telegrafowaniu do Wiednia po wachlarz — przyniosła dziecku pokryjomu obiecany pieniądz i kawałek strucla.

— Idź już teraz do izby czeladnej, koteczko, idź! — rzekła, gładząc dziewczynkę po lodowato-wilgotnej twarzy.

Ale podawana zapłata wysunęła się z ubezwładnionych rąk Bętky i upadła na podłogę.

— Biegnij powiedzieć kucharce, aby ci tu poświeciła — szepnęła, siląc się na uprzejmość, sleczna i przymknąwszy drzwi za sobą, wróciła w wesołych podskokach do stołu, do którego teraz dopiero zasiadła z prawdziwym apetytem.

Zesztywniałe ręce i zmącone oczy Bętky odnalazły w końcu bez światła dar sleczny, nie mógł on jej wszakże pocieszyć. Mózg biedaczki wierciła trwożna myśl, że zgubiła w drodze jeden ze swych drewnianych trzewików. Dotknęła ręką nożek i przekonała się, że tak było w istocie: szła w jednym trzewiku, podczas gdy drugą nogę okrywała tylko zlodowaciała pończocha. Dziewczynka czuła nadto jakiś ogromny ciężar wewnątrz, coś ją paliło, a zarazem mroziło, dusząc w gardle i w piersiach. Gdzie matka? Czemu nie spieszy jej na pomoc?... Dowlekła się nakoniec z trudnością do izby czeladnej, położonej naprzeciw pańskiego mieszkania... W izbie było ciepło, na stole stała zapalona lampka, ale nie zastała tu nikogo... „Mama wraz z innemi dziewczętami w oborze, przy dojeniu“ — przypomniała sobie Bętka, całkiem jeszcze przytomnie. Ale w tej chwili wydało się jej, że to, co ją dusiło, aż tu ją prześladuje... Dobywając ostatka sił, wgramoliła się na nędzne posłanie matczyne... Nie pamiętała już teraz o szóstaku i struclu, które położyła na ławie, zapomniała i o zwykłym wieczornym pacierzu: pamięć doszczętnie ją odbiegła. Tylko chłód, okrutny chłód aż tu do niej przenikał, ciemność ją otoczyła, wiatr huczał złowrogo. Wciskają się zapewne do izby owe straszydła, które się czołgały w ślad za nią po drodze, gdy uciekała do domu... Trzeba było uciekać, uciekać, co sił starczyło!... Z piersi dziecka wyrwał się okrzyk przerażenia, ale nikt go nie słyszał, matka bowiem znajdowała się jeszcze w tej chwili w oddalonej oborze...

. . . .

We dwa dni później wszystkie niemal dworskie kobiety zgromadziły się na schodach, wiodących do pańskich pokojów, aby zobaczyć panienkę w jej pięknym balowym stroju. Sleczna Iza raczyła im się ukazać łaskawie w całym blasku swej piękności, w całym uroku dziewiczej skromności i prostoty, strojna w kwiatki, uważane jako symbol tych cnót, pachnąca perfumą o miłej fijołkowej woni... Ściskając w prawej rączce nowiuteńki wachlarz, który nadszedł szczęśliwie na czas, zstępowała ostrożnie ze schodów w ślad za matką, niby gołąbka. Kryty powóz oczekiwał już dobrą chwilę przed gankiem i ojciec, zniecierpliwiony już cokolwiek, powitał panie łagodną wymówką: „Idziecie przecie nakoniec!“

---

ciskająca źrenica, mówią wyraźniej, niż wszelkie słowa, że on w tej chwili i hardy i potężny i mściwy zarazem! Wie, że utnie łeb hydrze krzyżackiej, że zapłaci sowicie za krzywdy Litwy rodzonej, że zmyje z duszy palące wspomnienie kłamanych uśmiechów, nieszczerych uścisków dłoni, którąby rad był zawsze gryźć i szarpać.

. . . .

Miecz Witolda „trafił w serce stugłowej poczwary“. Odrodziła się ona wprawdzie w innej formie z biegiem czasu, ale i w sto kilkanaście lat później Albert brandeburski na kolana jeszcze upada przed królem polskim, składając mu przysięgę wierności na rynku krakowskim, jak to przedstawia pendzel Mistrza w „Hołdzie pruskim“.

Potężną była naonczas Polska i często a radośnie wydzwaniał na Wawelu jej sławę „niewstrzymany, rozmachany Zygmunt“, którego „Wyciąganie“ przedstawia inna kartka „Albumu“.

Dzwonił on na „Unią lubelską“, która Polskę i Litwę złączyła „w jedno nieróżne i nierozdzielne ciało“, dzwonił, gdy „Stefan Batory pod Pskowem“ przyjmował posłów carskich, czołgających się kornie u jego stóp; dzwonił i „Sobieskiemu pod Wiedniem“.

Był to ostatni dzień słoneczny dla Polski przed długą nocą... Z dni upadku i bezsilności, hańby i nieszczęścia, jedną tylko straszną scenę przedstawia „Album“: scenę „Sejmu Warszawskiego“, który zatwierdził pierwszy rozbiór kraju... Spodlony sybaryta-król, rozpustny prymas, małoduszni posłowie, bezmyślne, strojne kobiety w lożach — oto, co najpierw się dostrzega na obrazie. Godni i wymowni przedstawiciele, skazanego na zagładę narodu, w którym sumienie zamilkło... Czy tak? czy umilkło naprawdę? Oh, nie! krzyczy ono przez usta tego, co bolem i miłością szalony padł u drzwi sali sejmowej i pierś obnaża, bo stokroć woli śmierć, niż hańbę... Nie usłyszy go i nie zrozumie to pokolenie spodlone, ale tam, na ostatnim planie obrazu, koło portretu carowej, niby młode orlę, probujące lotu, pacholę nie etnie wyciąga w górę ramiona, a w dłoni jego błyska ostrze miecza... To zapowiedź lepszych dni... Okrzyk Rejtana, okrzyk protestu przeciwko zbrodni, ozwie się po raz pierwszy w wiele lat później w dźwięku chłopskich kos... Jedna z kartek „Albumu“ przedstawia właśnie tę chwilę

W tej samej właśnie chwili, gdy państwo wsiadali do powozu, podwórzem biegła dziewczyna od krów, Stazka, a płacząc i łamiąc ręce wołała:

— Wielmożna pani, wielmożna pani! już mi ta biedna moja dziewczyna skonała — tak nagle — Takie dobre, śliczne dziecko i tak mię opuściło!

— Bętka? – zdziwiła się pani sprawcowa, którą coś ukłuło w serce na tę wiadomość. Niedomyślna pani nie zwróciła jednak uwagi na to uczucie i sadowiąc się w powozie tak, aby Izie zostało jak najwięcej miejsca, westchnęła:

— Ktoby się to był spodziewał — tak z niczego... Nic nawet nie wiedziałam o jej chorobie. Co się jej mogło stać takiego?

— Nie wiem, wielmożna pani, żar jakiś wewnętrzny ją strawił, mówiła, że to z drogi... Chorowała dwa dni tylko — myśl o nieszczęściu nie przychodziła mi wcale do głowy — skarżyła się żałośnie nieszczęśliwa matka.

— Nie płacz, Stazko. nie płacz — pocieszał strapioną kobietę pan sprawce. – Każemy jej zrobić piękną trumienkę na pański rachunek. Było to dobre dziecko, szkoda jej. ale lepiej jej będzie tam, wysoko, niż nam tu na ziemi.

— O Boże! — zawołała z wyrzutem — jesteś widocznie kobietą bez serca, Stazko, jeżeli możesz nam opowiadać o takich rzeczach w chwili, gdy jedziemy na tańce, chcesz chyba zatruć mi całą przyjemność!...

Ale stangret zaciął już konie i powóz potoczył się bez przeszkody pod cichem, gwiaździstem tego wieczora niebem, uwożąc szczęśliwych w swej nieświadomości ludzi ku miejscom wesela i zabawy, chociaż tu w pobliżu szeleściały skrzydła smutnego anioła śmierci...

Przełożyła z upoważnienia Autorki

M. Wysłouchowa.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

Lecz i prócz tej etyki niższej kategorji, opartej na karach i nagrodach, ludzie z dawien dawna pielęgnowali także etykę wyższą, społeczną i humanitarną, której jednem prawidłem było: *salus reipublicae suprema lex esto*, a drugiem, *homo sum, et nihil humani a me alienum esse puto*. Patrjotyzm i miłość ojczyzny, praca na korzyść ogółu, walka o jego wolność i dbanie o jego postęp i rozwój, to są piękne kwiaty tej etyki, niewyrastające na niwach etyki dogmatycznej, która ojczyznę uważa za padół płaczu, a rozwój ludzkości uważa za degenerację, za upadek od czasu wypędzenia z raju. Że tej właśnie kategorji etyki brak żydom naszym, brak w ogóle wielkim masom ludowym, to rzecz powszechnie wiadoma. Że religja, jako taka, tej wyższej, uobywatelniającej etyki im nie da, to łatwo zrozumieć.

Nie będziemy dłużej dyskutować tych filozoficznych podstaw broszury dra Caro, tem bardziej, że wygłosiwszy swe tezy, pozostawił je bez dalszych konsekwencyi. W swych projektach reformowych, których obejrzeniu poświęcimy rozdział następny, staje on prawie wyłącznie na stanowisku czysto ziemskiej etyki, uzbrojonej w kary i nagrody, tj. na stanowisku prawodawcy i proponuje szereg środków celem podcięcia nóg tym, którzy obecnie swymi czynami szkodzą całemu ogółowi społeczeństwa, a najwięcej szkodzą uczciwym żydom, którzy ze względu na fałszywie zrozumianą solidarność wyznaniową, zazwyczaj muszą za pomocą znanych przedzierzgań logicznych bronić tych swoich współwyznawców. A więc po co było filozofować w ten sposób i ciskać gromy na materjalistyczny światopogląd, który

---

pamiętną, tę w historji, pieśni i ustnem podaniu ludu, żyjącą „Bitwę racławicką“.

Wrzawa wojenna ucichła. Uczestnicy bitwy z rozdrażnionych lwów, jakimi byli zapewne przed chwilą, staja się znowu samymi sobą — ludźmi... Postaci ich i twarze wyrażają ożywiające ich w tej chwili tryumfu uczucia. Wódz powiewa radośnie czapką ku siermiężnym szeregom, do nich zwraca się rozjaśnioną twarzą — „najpierw wy, wieśniacy, polski ludu rolny!“ O parę kroków na lewo od Wodza, Stach Świstacki podnosi ku słońcu sztandar z Orłem, sztandar omyty z hańby bezkrwawych rozbiorów. Obok towarzysz pochyla się kornie dawnym zwyczajem i czapką ziemi dotyka .. Ale tam dalej stoi chłop, świadomy już swej ludzkiej godności: rękę położył na armacie moskiewskiej, jakby ją brał w wieczne posiadanie, śmiałą źrenicą utonął w spójrzeniu Naczelnika. Chwila zapału i bohaterstwa zatarła w nim wspomnienie wiekowej niewoli — nie zegnie już karku przed nikim — swiadczy o tem jego postawa spokojna, pewna siebie, wyniosła... Hej, Bartoszu, Bartoszu! żyć ty będziesz w pieśni i sercu ludu obok Wodza, „co błyskiem kosy imię swoje wzbił w niebiosy!“

Idźmy dalej. Na prawo od widza, w rogu obrazu. trzy chłopskie postaci występują wyraziście z ogólnego tła: pierwszy opatruje ranę towarzysza. Czyni to ostrożnie, starannie, ale z zupełnym spokojem: abo to jemu ból pierwszyzna? abo to chłop potrafi roztkliwiać się sentymentalnie na widok własnej, lub bratniej krwi? Drugi — ostrzy kosę. Zapomniał o świecie całym, zatopiony w swej robocie. Abo to on nie syn i nie wnuk tych, co na swych barkach dźwigali cały gmach pracy fizycznej, dokonywanej w narodzie? I teraz wypoczynku nie zna: przygotowuje się, aby być na stanowisku, gdy chmura słońce przyćmi i ryknie gromem. Trzeci — wyciąga szeroką, grubemi żyłami nabrzmiałą rękę ku rękojeści miecza, leżącego u jego stóp. Ta ręka chłopska, sięgająca po broń uprzywiljowanych, więcej mówi, niż poemat. — Głębszej, niż ta, myśli, pendzel Mistrza nie zaklął dotąd na płótnie. Wzrok widza zatrzymuje się na tym „bezimiennym“, któremu na imię „legjon“ i nie chce się od ń oderwać... *M. Wysłouchowa.*

tu nic a nic nie winien, a do którego z żydów, prócz nielicznych wykształconych jednostek w rodzaju samegoż dra Caro, nikt się nie przyznaje?

IX.

Na zakończenie tej przydługiej nieco analizy broszury dra Caro, analizy, której ostatni rozdział nie wypadł może tak jasnym i przekonywającym, jak tego pragnąłem — pozostaje mi streścić tylko pokrótce praktyczne projekty szanownego autora.

Nie myślę zatrzymywać się nad nimi długo, ani wdawać się w ich szczegółowy rozbiór, nie dlatego, jakobym zapoznawał ich ważność i doniosłość, lecz dlatego, że one wychodzą właściwie po za ramy, jakie zakreśliłem dla pracy obecnej, t. j. dotyczą nie żydów jako takich, ale pewnych zjawisk i chorób społecznych, takich jak lichwa, giełda, sprzedajna prasa, wyzyski i t. p. Wprawdzie dr. Caro powiedział, że, niestety, żydzi są czynnikiem bardzo silnie występującym w tych chorobach, lecz oczywiście wie dobrze, że nie są to choroby specjalnie żydowskie, że i chrześcijanie grają w tych zjawiskach rolę nie małą. Wyjątkowych ustaw dla żydów — czy to na ich korzyść, czy na ich szkodę — dr. Caro nie żąda, chce „tylko ważnej dla wszystkich reformy społecznej". Celem tej reformy ma być, by „żydowscy handlarze, którzy dziś wszędzie włóczą się po jarmarkach, kupują i sprzedają bydło, towary, zboże, ziemię, jednem słowem wszystko, a przytem oszukują biednego chłopa, byli zmuszeni stać się rzemieślnikami, robotnikami fabrycznymi lub rolnikami, gdyż wszyscy nie mogą być bogatymi kupcami i giełdzistami" — jednem słowem, by proletarjat żydowski stał się więcej produktywnym niż jest obecnie. Co zaś do „wyższych dziesięciu tysięcy", to dr Caro żąda, by w drodze ustawowej podcięto im możność oszukiwania, obdzierania i tumanienia współobywateli zapomocą lichwy, fałszywych bankructw i bezczelnej prasy. W tym celu żąda on rewizji ustawy cywilnej i karnej, surowszych kar za przestępstwa w komunikacji codziennej (a więc lichwę, oszustwo, wyłudzenie i t. p.), ograniczenia zdolności wekslowej, reformy ustawy spadkowej i reformy stosunków włościańskich w ogóle. Dopuszcza nawet deportację zasądzonych zbrodniarzy za granice państwa, a co najmniej żąda, by lichwiarz karany za wykonywanie tego rzemiosła na wsi, był nadal ze wsi wydalony. Żąda dalej reformy o bankach i akcjach, o meklerach i ajentach, a także karania prasy, która robiła reklamę nieuczciwym instytucjom tego rodzaju: według projektu dra Caro, po upadku każdej takiej instytucji powinno być wdrożone śledztwo w tym kierunku które pisma wychwalały tę instytucję; pisma takie powinne być pociągnięte do restytucji szkody, poniesionej przez wierzycieli w skutek danego bankructwa — projekt o tyle słuszny, o ile i radykalny.

Czy i o ile te projekty są wykonalne, czy i o ile w razie wykonania przyczynią się do oderwania żądła dzisiejszej kwestji żydowskiej — o tem wyrokować nie mogę. Zdaje mi się wszakże, że projekty te zawierają dużo słusznego i praktycznego i że każde stronnictwo polityczne, zwłaszcza w Galicji, dążące do postępowego rozwoju kraju, może i powinno bardzo wielką część tych projektów przyjąć do swego programu.

Nie mogę rozstać się z broszurą dra Caro, nie zaznaczywszy stanowiska, jakie autorowi podobało się zająć wobec naszych (lub też ogólno-europejskich) stronnictw i prądów społeczno-politycznych. Podniosłem już jego wątpliwej wartości pomieszanie religji z moralnością. Słowa „Bóg i moralność" powtarza dr. Caro kilkakrotnie, z naciskiem, jak hasło bojowe. Hasłem tem przejęty jest do tego stopnia, że żąda od żydów, by, jeżeli już nie chcą przyznawać się do religji żydowskiej, z której w sekrecie sami najmocniej kpią, przyznawali się przynajmniej do deizmu (str 52—53). Że to nieco oryginalne pojęcia o religji, to każdy przyzna, a członkowie kościołów, wyznających upragnione przez dra Caro „religje pozytywne", z pewnością nie będą zbudowani, słysząc takie żądanie.

Mimo tych niedwuznacznych objawów radykalizmu, zarówno religijnego (deizm) jak i społecznego (powszechna reforma społeczna w kierunku uniemożliwienia wyzysku, str. 53), uważał dr. Caro za rzecz potrzebną napisać ustęp następujący: „Może na podstawie tego projektu (by żydzi byli rolnikami), i innych, nazwie mię kto wstecznikiem. Na to mam tylko tę odpowiedź, że dziś, kiedy w pierwszej linji chodzi o kwestje ekonomiczne, szkolarski podział na liberałów i konserwatystów gruntownie się przestarzał. Na wszelki sposób dla mnie liberalizm, stojący na fałszywych podstawach wolności i równości i mający na celu materjalne ujarzmienie słabszego przez silniejszego, jest właściwie wstecznym, natomiast konserwatyzm, sprzeciwiający się faktycznemu przywróceniu niewolnictwa i pańszczyzny wszystkiemi siłami, oznacza dla mnie postęp." Po co właściwie ta gra słów? Wszakże tu każdy od razu pozna, że dr. Caro pod terminy „liberalizm" i „konserwatyzm" podkłada pojęcia, których te słowa zazwyczaj nie zawierają. Nie myślę bronić liberalizmu, ale gdzie też dr. Caro wygrzebał konserwatyzm tak gwałtowny, stawiający opór przywróceniu pańszczyzny? A jeżeli przez to dr. Caro chciał powiedzieć komplement naszym konserwatystom, naszym rycerzom od „harmonji dworów z chatą", od „stania i stać chcenia" i t. p., to sądzimy, że rycerze ci posiadają dość zmysłu krytycznego, by się poznać na wartości tego komplementu. A zresztą, jeżeli podział na konserwatystów i liberałów wydaje się drowi Caro niewystarczającym, to czyż tyle świata, co w oknie? Wszak nic mu nie przeszkadza nazwać się zwolennikiem radykalnych reform postępowych — a tego terminu nikt już chyba fałszywie nie zrozumie.

Iwan Franko.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

Stare żydowskie przysłowie powiada, że każde miasto ma swego warjata. Ponieważ przysłowia wogóle są mądrością narodów, ponieważ mądrość żydowska ma być podobno lepsza od innych, i ponieważ mądrość z prawdą niekiedy chodzi w parze, — więc trzeba przysłowiu dać wiarę.

W miasteczku Piskorzewie było warjatów aż dwóch. Jeden, jeżeli się tak wyrazić wolno, etatowy, istniejący zda się, dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia — drugi zaś prywatny, wolno praktykujący, ot taki sobie warjat, który popełnia głupstwa dla przyjemności osobistej i na własny rachunek.

Pierwszy, ponieważ istniał dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia, był oczywiście żydem. Miał idyotyczny wyraz twarzy, rudawe włosy i bródkę, jeden pejs takiegoż koloru, oczy baranie, wytrzeszczone, twarz upstrzoną piegami. Chodził bosy, obdarty, w łachmanach, sypiał zimową porą w przedsionku bóżnicy, latem na dworze, a żył tem, co mu miłosierni ludzi, dość skąpo zresztą, dawali.

Letnią porą włóczył się po polach, zaglądał do ogrodów, gdzie zdarzało mu się niekiedy ukraść trochę rzepy, cebuli, lub owoców, — i to była najwyższa rozkosz tego biedaka.

Gdy się ukazał na ulicy, biegła za nim z krzykiem gromada bachorów, obrzucała go kamykami, lub błotem, a on to z filozoficznym spokojem przyjmował, jakby rozumiejąc, że stanowisko warjata miejskiego, oprócz skąpej jałmużny, daje także obelgi i szturchańce. Każde stanowisko ma swoje dobre i złe strony, — jedno daje dużo honoru, a mało pieniędzy, inne na odwrót, dużo pieniędzy, a mało honoru, a są i takie, co ani pieniędzy, ani zaszczytów nie przynoszą.

Ostatecznie warjatowi temu nie było tak najgorzej na świecie, dostawał on od nabożnych żydówek śledziowe główki, od obywateli bezzębnych skórki chleba, niekiedy ktoś hojniejszy dał mu kilka gotowanych kartofli, a Jojna Meir Grinszpan, członek kahału i mąż wielce miłosiernego serca, który nigdy ubogiego w potrzebie nie opuścił, częstował go przy każdem spotkaniu tabaką.

Byli nawet ludzie, którzy zazdrościli szczęścia szaleńcowi i spoglądali na niego z zawiścią, a trzeba przyznać, że mieli do pewnego stopnia słuszność.

Dla nędzarza - szaleńca, lub nędzarza - kaleki, jest jałmużna, są szpitale, przed nędzarzem - przestępcą otwiera gościnne podwoje kryminał, urządzony po europejsku, z pewnym nawet komfortem i wygodą dla swych pensjonarzy — nędzarz zaś, nie kaleka i nie złodziej, pozostawiony jest własnemu losowi.

Wielkie to jeszcze szczęście, jeżeli ów biedak przyszedł na świat w chacie wiejskiej, i jeżeli pochodzi ze zwyczajnej chłopskiej rodziny; taki ma zdrowy grzbiet, zdrowe ręce, nie myśli o świetnych przodkach ani o niebieskich migdałach i nie skompromituje się, wziąwszy do rąk siekierę, łopatę widły, lub podobne ordynaryjne narzędzia. Taki pracuje, zarabia — i ostatecznie, ma co jeść, ma w czem chodzić i gdzie się przespać. Takiemu dobrze, ale nędzarz, który ujrzał światło dzienne w pięknem mieście Piskorzewie, nędarz pyszniący się szeregiem uczonych przodków, którzy nigdy nie splamili swych rąk ordynaryjną robotą, nędzarz delikatny, ma zupełną rację zazdrościć losu szaleńcowi żyjącemu z jałmużny.

Berek Przepadło, inaczej zwany Berek „hamszuge“, lub po prostu „warjat“, nie zdawał sobie zapewne sprawy z położenia, w jakiem się znajdował, nie narzekał na los swój i przepędzał czas bardzo wesoło, o ile się zdaje — bez troski.

Opinię miał ustaloną, nikt nie nazywał go ani wielkim, ani małym, mówiono o nim tylko, że jest warjat zwyczajny, mający w sobie akurat tyle nieszkodliwej głupoty, ile potrzeba dla warjata tak małego miasta jak Piskorzewo. Szewcy piskorzewscy nie wyrabiali balowych lakierków, krawcy nie szyli frakowych garniturów, dla czegoż by piskorzewski warjat miał popełniać nadzwyczajne jakieś wybryki!?

Wedle stawu grobla.

. . . .

Co do drugiego warjata opinia publiczna miasta Piskorzewa miała twardy orzech do zgryzienia; wahała się ona długo w jedną i drugą stronę, jak rozbujana huśtawska, zanim wydała wyrok, oparty na licznych, a różnorodnych motywach. Istotnie, co do Berka, od razu wiedziano czego się trzymać, dość było tylko zawołać głośno: „hej warjat“! a on zaraz się oglądał i wyciągał rękę po datek, na tamtego zaś trzeba było mówić: „panie dobrodzieju“ i w oczy przynajmniej traktować go jako człowieka, posiadającego wszystkie pięć klepek w głowie...

Trzeba przyznać opinji publicznej miasta Piskorzewa, że wydała wyrok po długim namyśle i na podstawie szeregu faktów, z których każdy wzięty oddzielnie był co najmniej dwuznacznym, a wszystkie razem tworzyły istny bigos psychopatyczny, — i wprowadzały inteligencję piskorzewską w coraz większe zdumienie.

I to bowiem wiedzieć należy, że grupa ludzi, która zawyrokowała o stanie umysłowym pana Dezyderego, składała się wyłącznie z osób inteligentnych. Ciemne pospólstwo miało o tym człowieku zupełnie inne przekonanie.

Kiedy pan Dezydery przybył do Piskorzewa i kupił ładny domek z ogrodem, położony na uboczu, przy samej prawie rogatce, zaczęły się zaraz różne gawędy.

Zdawało się, że w powietrzu unoszą się znaki zapytania i wykrzykniki.

Dla czego kupił? dla czego w Piskorzewie, a nie gdzieindziej? dla czego na uboczu, a nie w rynku, lub na pryncypalnej ulicy? Co w tem jest?

I w rzeczy samej cóż to? Ni ztąd ni zowąd zjawia się jegomość jakiś, przyzwoicie ubrany, nie

biedny, nabywa dom, sprowadza się i mieszka. Na pozór niby nic, ale zastanowiwszy się głębiej, można przypuszczać Bóg wie co.

Przebudowywa dom z gruntu, ozdabia go, ze zwykłej chałupy robi coś w rodzaju willi, jak gdyby nie w Piskorzewie, lecz Szwajcarji. Robotnicy opowiadają cuda o ścianach, oknach, obiciach, posadzkach, piecach; mówią, że nawet w aptece nie jest tak bogato i pięknie jak w tej willi... Buduje w podwórzu obszerną piwnicę i lodownię, — to jest podoba mu się mówić, że to piwnica i lodownia, któż jednak zaręczy, czy w rzeczywistości nie będzie to potajemna gorzelnia, albo fabryka fałszywych pieniędzy!

Bywały już i takie wydarzenia.

Sprowadza ogrodnika, burzy cały ogród, sadzi drzewa rozmaite, brzoskwinie, wino, zakłada szparagarnię, inspekta, zaprowadza masę kwiatów w oszklonym budynku.

Kpi, czy o drogę pyta? kogo chce łudzić? bo jeżeli inteligencję piskorzewską, to się źle wybrał, — ona się w pole wyprowadzić nie da.

Urządził się już zupełnie — mieszka. Latem prawie ciągle pracuje w ogrodzie, zimą siedzi w swoim gabinecie i czyta. Ma mnóstwo książek, dwie szafy pełne tej bibuły, trzyma też kilka pism warszawskich i parę zagranicznych; nie bywa nigdzie, w karty nie gra, nie ma żony, ani dzieci — i trzyma gospodynię, babę starą, opryskliwą i złą jak djabeł. O tej gospodyni mówiono przez kilka tygodni w Piskorzewie.

Jedna dama, z grona inteligencji grubszej, albowiem mówiła po francuzku, wyczytała w jakimś starym romansie nadzwyczajną historję... i tak była nią wzruszona, że przez całą noc oka zmrużyć nie mogła. Rano wstała bardzo wcześnie, ubrała się i pobiegła do najbliższej sąsiadki.

— Powiem pani coś nadzwyczajnego, — zawołała zaraz na wstępie, ale sekret!...

— O, znasz mnie pani, żem do tego jedyna...

— Tajemnica... dopóki się wszystko nie wyjaśni — słowo?

— Choćby dziesięć...

A więc... posłuchaj mnie pani...

— Słucham; słucham...

— Czy tu nikt nie wejdzie?

— Nikt a nikt...

— Jednak dla pewności, zamknij pani drzwi na klucz... a teraz zaczynam: · Wygląda to może na bajkę, ale uważaj pani: pewien wielki rozpustnik, choć już nie pierwszej młodości...

— Ach! domyślam się... Dezydery!

— Nie... hrabia de... de, jakże go tam, de Sauce-Piquant.

— Hrabia! więc on jest hrabia... Czy wie pani, że mnie od razu to na myśl przyszło...

— Ależ on jest zbrodniarz!

— O i to zauważyłam od pierwszego wejrzenia... ale dalej, mów pani dalej, na Boga!

— Powoli — rzekła dama — dowiesz się pani pięknych rzeczy. Otóż pan hrabia de Sauce-Piquant upatrzył sobie w sąsiednim zamku cudnej urody panienkę, z porządnej rodziny, baronównę de Tourtourelle — i wykradł ją z domu rodziców.

— Ach! łotr!

— Dziewczyna miała szesnaście lat...

— Szesnaście!...

— Nawet nie zupełnie skończone... Nie będę pani opowiadała szczegółów, dość, że zbałamucił dziecko, wykradł, wywiózł, i oboje, jak kamień w wodę... przepadli. Ojciec poruszył wszelkie sprężyny, zawiadomił policję, sprowadził najzdolniejszych agentów z Paryża...

— I cóż moja pani, złapali?

— Nie... wykryło się dopiero w kilku lat później...

— Jakim cudem?

— Niech pani słucha uważnie... Do pewnego miasteczka w południowej Francji przybył jakiś pan, bardzo poważny, zdaje się dość zamożny... niby rentier, niby ex-profesor... niby coś, nabył dom

— Dezydery!

— Ja nie powiadam, że to on. Nabył dom, odnowił go, wyelegantował, urządził z wielkim szykiem.

— Ależ Dezydery!

— Powtarzam pani, że tego nie twierdzę... Wyelegantował dom i zamieszkał w nim ze starą, brzydką jak nieszczęście, gospodynią.

— Wojciechowa!

— Czekaj że pani... mieszkał przez kilka lat... aż jednego razu, przypadkiem, wykryła się prawda... Młody chłopiec, syn węglarza, skończony łotr, dostał się do ogrodu owego jegomościa, już późnym wieczorem, właściwie nawet w nocy, po prostu, aby kraść gruszki.

— No, no...

— Wystaw sobie pani, wdrapał się na drzewo, w tem w oknie na górze błysnęło światło. Naturalnie chłopiec przytulił się do gałęzi i czekał... Czeka tedy, patrzy i widzi doskonale co się dzieje. Do pokoju weszła z bogatym kandelabrem w ręku stara gospodyni i zasiadła przed lustrem.

— O stara sekutnica! co za bezczelność, co za bezczelność! Doprawdy, niedługo sługi będą już chyba przed ołtarzami siadały!!

— Więc zasiadła sobie przed lustrem i wyobraź pani sobie, zdejmuje z głowy czepiec i ogromną siwą perukę...

— Niepodobna!

— Aha... a z pod peruki sypie się kaskada pysznych blond włosów.

— Jezus Marja!

— Następnie zdejmuje z twarzy maskę i okazuje się buzia tak piękna, tak urocza...

— A stary łajdak! Moja pani, moja najdroższa pani, więc ta Wojciechowa, któżby się spodziewał?! — a wie pani, że ja od pierwszego wejrzenia poznałam, że w tej babie jest coś nienatu-

ralnego... coś takiego... ruchy za nadto żywe, głos... I któżto odkrył? moja pani, kto?

— Jeszcze nikt nie odkrył, jest to tylko moje przypuszczenie... Sekret, sza, babę obserwować i zdemaskować...

— Obserwować i zdemaskować!..

— Ale jak?

— Nic łatwiejszego, pilnować bacznie, przecież się kiedyś zdradzi.

Gospodyni pana Dezyderego powróciwszy z targu, przystąpiła wprost do swego pana.

— Panie, — rzekła na wpół z płaczem, — czy mi rogi na łbie wyrosły? czy co takiego się stało ze mną dziwnego?

— No?

— A oto przejść mi spokojnie nie dają. Z dziesięć pań mnie zaczepiło na mieście, a przypatrywały mi się, a zagadywały, a zaglądały w oczy... a jeden stateczny pan jakiś, podobno aptekarz, to mnie w brodę uszczypnął.. powiedziałam też zbereźnikowi staremu, aż mu w pięty poszło... Oh! panie, ja ztąd ucieknę... w Warszawie na Starem Mieście mnie ludzie szanowali, a tu patrzą jak na raroga...

— Uspokój się kobiecino, rzekł pan Dezydery, ludzie są ludźmi, pogapią się i przestaną. Czy ci to ubliża, że kto patrzy na ciebie...

— Juści to niemiło... Dam na mszę do Przemienienia Pańskiego, może się Pan Jezus zmiłuje nademną...

. . . .

Więc chyba nie zbrodniarz? Tak się zdaje przynajmniej...

Mieszka już w Piskorzewie cały rok, nie wyjeżdża nigdzie, osób podejrzanych nie przyjmuje, a niepodejrzanych także nie zaprasza... W ogrodzie hoduje prawdziwe kwiaty i prawdziwe owoce, do lodowni zwożą mu w zimie autentyczny lód. Okienic prawie nigdy nie zamyka, można go widzieć z ulicy, zwłaszcza wieczorem, jak siedzi pochylony nad książką. lub gazetą, jak czyta albo pisze.

Wogóle nie ukrywa się, kto chce może podpatrywać go dowoli. Zdaje się więc, że wódki potajemnie nie pędzi, że fałszywej monety nie wyrabia. Zdradził by go przecież jakiś dym, odór, stuk, a ludzie nie napróżno mają nosy, uszy i oczy...

Wojciechowa, choć różnie o tem mówiono, jest jak się zdaje autentyczną starą babą, a przynajmniej niema dowodu, żeby była nieautentyczną. Jej małomówność, unikanie ludzi, mrukliwość, są wprawdzie mocno podejrzane; ale przygarbiona postać, ręce duże, zapracowane, wyschłe, oczy jakby zamglone, głos rozbity, dowodzą, że albo Wojciechowa jest starą babą na prawdę, albo też, że sztuka fałszowania doszła do ostatnich granic doskonałości i dalej już ani na krok nie postąpi.

Damy orzekły, że dziewczyna egzaltowana mogłaby się zdobyć na taki heroizm i przybrać na siebie maskę starej i brzydkiej kobiety. Jest to nieprawdopodobne, ale ostatecznie możliwe, — ale żeby wytrzymać w takiem przebraniu przez cały rok, żeby podejmować roboty, od których ręce naprawdę grubieją i zupełnie tracą delikatność, to już niepodobne do wiary. Można się wyrzec wdzięków na parę godzin, na dwa dni, wreszcie dla niezmiernie ukochanego człowieka na tydzień, ale na rok, na cały rok, nie, nie, to już nad siły ludzkie!..

Bądź co bądź, niewiadomo, kto jest Dezydery, a raczej wiadomo bardzo niewiele. Zaraz po przybyciu i kupnie domu złożył swoją legitymację w magistracie, do własnych rąk pana burmistrza. Pokazało się z niej tyle tylko, że przybysz, przedmiotem ciekawości powszechnej będący, nazywa się Dezydery X, że ma lat 56, że jest chrześcijanin i wdowiec, że posiada stopień kandydata nauk przyrodniczych, że trudnił się nauczycielstwem, a obecnie utrzymuje się z własnych funduszów, że nakoniec ma wzrost średni, tuszę średnią, oczy siwe, włosy szpakowate, nos, usta i brodę umiarkowane, i że żadnemi znakami szczególnemi się nie odznacza, oto i wszystko..

Najlepsi komentatorowie i badacze uczynków bliźniego nie wiele z tak szczupłego materjału wycisną....

Dwa szczegóły legitymacji przemawiały poniekąd na korzyść pana Dezyderego, mianowicie, że jest wdowiec i że utrzymuje się z własnych funduszów. Kto ma córki na wydaniu, nie lekceważy ani wdowców, ani tak zwanych „własnych funduszów“; wprawdzie bruździł tu nieco wiek. lat 56 — ale starsze panie powiedziały, że to głupstwo, gdyż mężczyznę w tym wieku najłatwiej zawojować... i w razie sporządzenia jakiego zapisu „po najdłuższem życiu“, oczekiwanie może nie być zbyt długie..

Osoby interesowane usiłowały zbadać życie pana Dezyderego pod względem rodzinnym. Jedynem źródłem informacji mogła być tylko Wojciechowa. Kobieta wyjątkowo mrukliwa i małomówna — ale i z tego kamienia zdołano wodę wycisnąć. Baba wygadała się niechcąco, że jej pan był najlepszym mężem dla swej żony i najczulszym ojcem dwojga małych dziatek, że gdy wszystko troje utracił i pochował, rozpaczał strasznie, przez parę miesięcy chorował bez nadziei życia, potem włóczył się po świecie, był za górami, za morzami, aż nareszcie powrócił, ale już w Warszawie mieszkać nie chciał, czy nie mógł, więc kupił domek w Piskorzewie i osiedlił się tu niewiadomo po co...

Otóż to! niewiadomo po co! Zagadka nierozwiązana; niby się coś wykryło, a właściwie nic się nie wykryło.

W każdym razie to chyba nie jest zbrodniarz, nie! ale w takim razie któż?

. . . .

(C. d. n.)